

Dekada kryzysu i rebelii

Dekada, która upłynęła od upadku Lehman Brothers, to nie tylko jeszcze więcej brutalnego neoliberalizmu zakończonego wzlotem prawicy, ale też potężna fala społecznych protestów i rewolucji od Kairu przez Nowy Jork, Ateny i Kijów, a na chińskim Szenzen kończąc.

Podobno kryzys 2008 r. niczego nie zmienił. To prawda, że strukturalne kłopoty kapitalizmu trwają od kilku dekad, a neoliberalny establishment niczego się nie nauczył. Prawdą jest nawet to, że zwycięski pochód sił konserwatywnej reakcji na kryzys trwający od Waszyngtonu przez Rzym, Budapeszt, Warszawę aż do Moskwy nie oferuje społeczeństwu żadnej systemowej alternatywy poza wymianą na fotelach władzy, socjalnym woluntaryzmem i przekierowywaniem frustracji na boczne tory, z polowaniami na kozły ofiarne (uchodźców, migrantów, kobiety, mniejszości) na czele.

Niemniej bilans minionej dekady będzie fałszywy jeśli nie uwzględnić w nim dwóch kwestii. Tego, że kryzys przyspieszył schyłek globalnej hegemonii USA i w ogóle Zachodu, oraz tego, że zarządzanie kryzysem spotkało się z potężną odpowiedzią ludową. Zasluguje ona na szczególną uwagę. Jej zasięg przekroczył przecież granice kontynentów i bloków geopolitycznych. Zrodziły ją tyleż cierpienia, które spadły na społeczeństwa w wyniku krachu hipotecznego, ciężaru długów i polityk zaciskania pasa, ile odrzucenie socjaldemokratycznej lewicy od ponad dwóch dekad hołdującej thatcherowskiemu przekonaniu, że dla neoliberalnego kapitalizmu nie ma żadnej alternatywy. Rozczarowanie centrolewicą, która latem 2008 r. rządziła w większości krajów UE, spotęgowane przez efekty kryzysu stało się zapalnikiem uruchamiającym całą sekwencję rebelii i buntów.

O ile pierwsza w historii globalna klęska głodu w 2008 r. doprowadziła do serii krwawych, ale efemerycznych rozruchów w kilkunastu krajach Południa, to jej druga fala pod koniec 2010 r. pociągnęła za sobą wybuch Arabskiej Wiosny, która zmiotła autorytarne i częściowo neoliberalne reżimy w Tunezji, Egipcie i Libii, a wkrótce zachwiała podobnymi rządami w Bahrajnie, Iraku, Jemenie i Syrii. Obrazy okupacji centralnych placów arabskich stolic zainspirowały Amerykanów – najpierw, w lutym 2011 r., w stolicy Wisconsin – Madison, a potem w Nowym Jorku i dziesiątkach innych miast. W maju 2011 r. kryzys zadłużenia sprawił, że

fala protestów rozpoczęta w tunezyjskim Sidi bu Zajd rozlała się w Unii Europejskiej. Okupacje miast w Hiszpanii i Grecji były najbardziej masowe i przyczyniły się do zmian politycznych w tych krajach, ale wielkie mobilizacje nie ominęły Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii, gdzie szczególnie poważne rozmiary przyjęły protesty studenckie. W tym samym czasie głównym ośrodkiem globalnej walki klas stały się przemysłowe regiony Chin, gdzie co roku dochodzi do dziesiątków tysięcy protestów. Ostatni wielki akord tej sekwencji globalnego buntu stanowiła zwycięska rewolucja w Ukrainie i fala protestów w Bośni zimą 2014 r.

Lata 2011-2015, to okres globalnej mobilizacji przeciw neoliberalizmowi w różnych postaciach (peryferyjnych i centralnych). W takim kontekście wahadło debaty publicznej w sporej części świata przesunęło się w lewo. Tam gdzie udało się odsunąć rządzących od władzy, czy to na drodze rewolucji, jak w Tunezji, Egipcie i Ukrainie, czy wyborów, jak w Grecji i Portugalii ruch ten spotkał się jednak z silną reakcją. Podobnie zresztą stało się w miejscach, gdzie lewica „zaledwie” przesunęła pole debaty politycznej i przyczyniła się do rekompozycji sceny politycznej (a szczególnie jej lewej strony), jak w Hiszpanii, USA, Wielkiej Brytanii. Presje ekonomiczna i polityczna ostatecznie złamały grecką Syrizę. Brutalna akcja policji położyła kres ruchowi Occupy w nowojorskim Parku Zucotti i stłumiła najważniejsze ośrodki ruchu Black Lives Matter. Na peryferiach globalnego kapitalizmu rewolucje po prostu utopiono we krwi – jak w Syrii. Uliczne masakry towarzyszyły zamachowi stanu w Egipcie latem 2013 r., dwa lata wcześniej w Bagdadzie rozstrzelano dziesiątki pokojowych demonstrantów. Z kolei Bahrajn, Jemen i Ukraina stały się sceną kontrrewolucyjnych interwencji zbrojnych, odpowiednio Arabii Saudyjskiej (Bahrajn i Jemen) oraz Rosji (Ukraina).

Wydarzenia te utorowały drogę do dzisiejszego prawicowego zwrotu w wielu krajach. Analizy jego przebiegu często pomijają ten kontekst. Tymczasem jest on kluczowy i tylko uświadomienie sobie, że Trump, Le Pen, czy Salvini w gruncie rzeczy wpisują się w reakcję elit na społeczne bunty wywołane kryzysem, radykalizując jej antydemokratyczne aspekty – np. zamieniając bailoutowy interwencjonizm państwowy w retorykę protekcjonistyczną, a polityki bezpieczeństwa stosując do rozkręcenia hysterii antyimigranckiej i nacjonalistycznej – może pomóc w skutecznym zwalczaniu prawicowego zagrożenia.

W dziesięcioletnim bilansie nie powinno się pomijać wielkiego demokratycznego

ożywienia, które połączyło tak różne kraje i społeczeństwa jak Stany Zjednoczone, Ukraina, Hiszpania i Syria. Doświadczenie zbiorowych mobilizacji, które stało się udziałem milionów ludzi na pewno nie pójdzie na marne. Zdobytcze lewicowej fali z lat 2011-2015 to m.in. demokracja w Tunezji, rządy lewicy w Portugalii, powstanie Podemos i lewicowe władze w 23 dużych miastach Hiszpanii, utrzymywanie się u władzy Syrizey, lewicowy zwrot laburzystów w Wielkiej Brytanii, sukcesy Francji Nieuległej i lewicy „sandersowskiej” w USA. Ale trzeba do nich doliczyć mniej oczywiste: wymuszenie luzowania ilościowego na bankach centralnych po obu stronach Atlantyku, zatrzymanie TTIP, Obamacare w USA, czy wystrajkowany wzrost płac w Chinach.

W obecnej sytuacji może się wydawać, że to dramatycznie mało. Ważne jest jednak by pamiętać, że to odrzucenie lewicowej alternatywy przez elity euroatlantyckiego kapitalizmu otworzyły drzwi reakcji prawicowej. Przede wszystkim zaś, że obecna koniunktura w żadnym razie nie przekreśla wagi tej alternatywy, a wręcz przeciwnie, dowodzi jak bardzo jest ona potrzebna.